Rok 1898. Lwów, dnia 21. lutego. Nr. 8.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

EDWARD JELINEK

KAMILKA i KAMILLA.

Przekład z czeskiego.

Małą Kamilkę, dziewczę miluśkie a czupurne, znałem od lat najmłodszych. Widywałem ją wprawdzie raz na rok tylko, ale pamiętała mię dobrze. Cieszyła się z mojego przybycia, a i ja rad wstępowałem do nich po drodze. Przez cały szereg lat zaspakajałem na usteczkach Kamilki chętkę moją do całowania.

Mijał tak rok za rokiem i z uciechą dostrzegałem stopniowe dojrzewanie rozkosznego dziewczątka. Huśtałem ją na kolanach, pieściłem i usypiałem. Dziecina długo, długo spoczywała w mojem objęciu.

Upłynęło lat dziesięć, prędzej, niż wiatr powiał. I mnie uciekło dziesięć lat żywota...

Skończyły się całusy, huśtania i pieszczoty! Kamilka nie przedzierzgnęła się wprawdzie jeszcze w panienkę, ale wiek szczerego dzieciństwa już przekroczyła. Krótkie, po kolana sukienki i swoboda pocałunków, jak sen minęły.

Aż raz, a było to znów po roku, zjawiłem się ni stąd ni zowąd u Kamilki. Zastałem ją w ogrodzie. Jak tylko mię dostrzegła na żółtej ścieżce, wiodącej do gęsto powojami ocienionej altanki, wykrzyknęła i zanimem się do niej zbliżył, śpiesznie coś pod białym fartuszkiem schowała. Nie uszło baczności mej, że była wielce czemś zaniepokojona, nawet drżąca.

Ale było z tem do twarzy ślicznej tej dziewczynie. Podała mi ładną swą rączkę, powitała serdecznie... ale drugą ręką uparcie skrywała pod białym fartuszkiem coś tajemniczego. Dopytywałem się, jako dawny a poufny przyjaciel, ale się zapierała, wreszcie uciekła. Przypadkiem dopiero dowiedziałem się, że ukrywa przedemną lalkę drewnianą, taką, co to kładąc się przewraca oczy, a za pociśnięciem gada: „mama, papa“. Była to ostatnia lalka Kamilki. Doprawdy nie zdołam wyrazić, jak mi się dziewczyna ta wtedy podobała. Była do scałowania...

* * *

Przeszło lat kilka, kawał życia. Przemknęły tak samo szybko, jak wietrzyk.

I znowu niespodzianie zawitałem do domu Kamilki, o której nie mogłem już nie wiedzieć, że przestała być dzieckiem. Dawno już była dojrzałą dziewicą, panną Kamillą.

Ale, o dziwo, jak naówczas, kiedym ją przyłapał z lalką drewnianą pod białym fartuszkiem, zmięszaną i zaambarasowaną, abym tajemnicy nie odkrył, tak i dzisiaj, stanąwszy niespodzianie przed nią, dojrzałem w niej trwogę i zaniepokojenie. Gorączkowym prawie ruchem skryła przed mym wzrokiem badawczym coś tajemniczego pod jasną zapaseczką...

Była to książka. Panna rumieniła się i z trudem opanowywała niepokój.

I znowu wypadkiem dowiedziałem się, że chowa przedemną Toussaint'a „Sztukę przedłużenia młodego wyglądania“.

Zamyśliłem się... Nie mówiliśmy o tem, ale i jej i mnie przyszła na myśl lalka drewniana.

ADAM KRAJEWSKI

PRZYCZYNEK DO HISTORJI CZASÓW SASKICH W POLSCE.

Ciąg dalszy.

List ten miał znaczenie czysto formalne; Fryderyk widać niebardzo troszczył się o to, czy się August zgodzi na przemarsz jego wojsk przez Saksonję. A raczej nie rozchodziło się królowi pruskiemu o sam przemarsz, ile poprostu o zupełną okupację. W cztery dni po liście wysłanym do króla polskiego, zamiar okupacji Saksonji był faktem dokonanym, już bowiem w dniu 5. września 1756 znajdujemy list datowany z *Lomitz*, w którym Fryderyk tłumaczy swój postępek z całą otwartością:

„Hrabia Salmour doręczył mi pismo, które J. Kr. Mość do mnie wystosowałeś. Jakkolwiek mam wielkie pragnienie i skłonność opuścić kraje Waszej król. Mości, aby je ochronić od plagi wojennej, nie mogę tego jeszcze teraz uczynić, ze względu na najważniejsze dla mnie zabezpieczenie dowozu prowiantu. Pragnąłem, aby droga moja do Czech wiodła przez Turyngję, iżbym nie potrzebował obarczać krajów Waszej Król. Mości. Kiedy mnie jednak pewne względy wojenne postawiły w konieczności posługiwania się Elbą, nie mogę więc bez uczynienia cudu, żadnego innego chwycić się środka, jak tego, który obrałem. Zapewniam Waszą Król. Mość, że spieszę na wszelkie możliwe sposoby; z tem wszystkiem jednak wojsko nie może ptakiem lecieć. Co mówiłem Waszej Król. Mości o złych zamysłach Waszych ministrów, tyle przeciwnych obowiązującmu pokojowi drezdeńskiemu, jestem w stanie udowodnić i uczyniłbym to dziś jeszcze, gdyby mnie nie wstrzymywały od tego pewne reguły ostrożności, na które muszę jeszcze uważać. Z tem wszystkiem nie zapomnę nigdy, co winien jestem ukoronowanej głowie i sąsiedzkiemu księciu, który tylko w błąd jest wprowadzany i dla którego ja, jak i dla całego domu królewskiego, chociażby był nawet moim największym wrogiem, najwyższy i najzupełniejszy zachowam szacunek.“

Z powyższego widać, że Fryderyk ani myślał z raz zajętej przez wojska Saksonji się wycofywać i że spokojnie zajmował sobie kraj cały. Poszedł nawet jeszcze dalej, bo poprostu jakby uwięził i trzymał cały dwór Augusta wraz z żoną. Jako przebiegły jednak dyplomata, pisał list za listem do króla polskiego, słodząc w ten sposób gorżkie i nieprzyjemne pigułki, jakie dworowi saskiemu i osobie Augusta podawał do spożywania. Rozumie się, że w dalszym ciągu korespondencji, poprzedzającej wojnę, która się zupełną klęską wojsk saskich i prawie ucieczką Augusta do Warszawy skończyła, niema już mowy o wycofaniu wojsk lub tychże wymarszu z prowincyj saskich; postępowanie Fryderyka usprawiedliwiało wrogie dlań zachowanie się ministerstwa saskiego, grawitującego do Austrji i w niej ochrony swych interesów przed drapieżnym królem pruskim szukającego. W drugim liście z *Sedlitz* z daty 11. września znajdujemy niejako wyjaśnienie sytuacji:

„Niech sobie Wasza Król. Mość przypomni to, co mu już poprzednio podałem do wiadomości, że mianowicie, gdy jestem o złych zamiarach ministrów saskich najzupełniej przekonany, muszę w przededniu wypowiedzianej mi przez cesarzowę i królowę wojny, przedsięwziąć dla siebie pewne środki ostrożności. Polegają one na tem, że muszę sobie przedewszystkiem zabezpieczyć Elbę; po drugie, że nie zostawię za sobą w tyle żadnej armji, któraby tylko czekała na sposobność, aby się na mnie rzucić, gdy się uwikłam w sidła moich nieprzyjaciół. Oto jest, co mnie tu trzyma i trzymać będzie, dopóki ta przeszkoda z drogi mi nie ustąpi, a gdy odpowiedź dworu wiedeńskiego, którą właśnie otrzymałem, doprowadza mnie do ostatecznego krańca, niemogę zmienić niczego. Królowa polska, jak i cały dom Waszej Król. Mości, ma się dobrze i mogą się udać, gdzieby im się podobało. Nie przedsięwziąłem niczego ani przeciw nim, ani przeciw wolności kogokolwiek, kto się w c y w i l n e j służbie Waszej Król. Mości znajduje. Wasza Król. Mość możesz poznać z tego, że dotrzymuję słowa i jeżeliby oni, dziś lub jutro, gdy się Wam podoba, lub uznacie to za potrzebne, przez moją armię przejeżdżać mieli, to uważać się będzie każdego z nich jako do Was należącego i należyty odda mu się honor, tak jakbyśmy byli przyjaciółmi i sprzymierzeńcami“.

Samemu królowi pruskiemu, jakkolwiek nieliczącemu się bardzo z czynami zaborczymi, trudno było odrazu objaśnić Augusta, że przestał na razie panować i rozkazywać w swoim kraju; dzielił to na cząsteczki i potroszę dolewał goryczy do kielicha podwójnego monarchy: polskiego i saskiego, pozbawionego mocy i znaczenia tak na jednym, jak i na drugim tronie.

Zaraz na drugi dzień, mianowicie 12 września pisze znowu:

„Przypomni sobie Wasza Król. Mość, co powiedziałem we wczorajszym liście, że nietylko jest dla mnie wysoce niebezpieczne ale wprost niemożliwe, maszerować z Saksonji do Czech (w tem miejscu zwracamy uwagę, że w pierwszym liście pisał co innego, że mianowicie tylko dla tego obrał drogę przez Saksonję, aby mieć drogę wodną, Elbę zapewnioną) a armię za plecami memi zostawić. Gdyby tu szło o zwykły dowód grzeczności, tobym takiego Waszej Król. Mości nie odmówił; ale rozchodzi się tu o bezpieczeństwo i utrzymanie kraju, który o p a n o w a ł e m i to właśnie zmusza mnie nie odejść ztąd prędzej, póki się zupełnie nie przekonam, że niczego za sobą nie zostawię, coby mnie później do żałowania skłaniało. Moje przednie straże są już w Czechach, wcale pokaźny korpus za niemi postępuje i jeżeli Wasza Król. Mość życzy sobie, może posłać którego ze swych oficerów, abym mu pokazał moje wojska. Nie mam powodu do pospiechu i oczekuję, czy dalsze wyczekiwanie, czy inne środki i drogi o moich terazniejszych zamiarach rozstrzygną.

Niech sobie będzie wreszcie co chce, proszę być przekonanym, że uczucia moje dla Jego królewskiej osoby i Jego domu w niczem się nie zmienią“.

Usiłował on wmówić w Augusta, że dokonana faktycznie przez pruską armję okupacja Saksonji, jest dla tej ostatniej prawdziwem zbawieniem i jakkolwiek tego nigdzie wprost nie wyraża, to jednak widocznem jest aż nadto wyraźnie z listów do Augusta pisanych, że tylko w przymierzu i oddaniu się na łaskę lub niełaskę, leży przyszłość dziedzicznego kraju króla polskiego, przeciwnie zaś sojusz z Austrją i Rosją narazi tron saski na szwank i utratę.

Wyraźniej o tem wspomniano w następnym liście, wysłanym do Augusta już 13. września, również z głównej kwatery króla pruskiego w Sedlitz. Pisany on już jest w tym tonie, jakby elektorstwo saskie wcale nie istniało, lecz tylko sam August i to jakby był detronizowanym. Oto co powiada list następujący:

„Nic mi bardziej nie leży na sercu, jak to, co dotyczy czci i godności Waszej Król. Mości osobiście. Możesz Wasza Król. Mość być przekonanym, że mi Jego osoba w obozie więcej trosk przyczyni, niż Jego wojsko. Wierzę mimoto przecież, że znajduje się jeszcze środek, aby godność Waszą z tem pojednać, czego moje interesa obecnie niezbędnie wymagają i że wszystko to dla nas obu jeszcze dobrze się ułoży. Jeżeli Wasza Król. Mość uzna to za dobre, w takim razie oczekuję na zezwolenie Jego do wysłania jednego z generałów z pewnemi propozycjami do Niego. Proszę Waszą Król. Mość, aby mówił z nim sam i dał mu odpowiedź. Powtarzam raz jeszcze i zapewniam Waszą Król. Mość na mój honor, który mi jest droższym nad życie, że niemam nic przeciwko Jego Osobie, lub przeciw interesom Jego domu, lecz że w obecnych stosunkach los Waszej Król. Mości musi być z moim związany; a zapewniam Go na wszystko co mi jest świętem, że gdy mi los w obecnej wojnie poszczęści, nie będzie mieć Wasza Król. Mość powodu ze mnie być niezadowolonym; jeżelibym ja natomiast miał popaść w nieszczęście, Saksonję z Prusami i resztę moich państw jednaki los spotka".

Ponieważ nie podobna przypuścić, aby tego samego dnia odpowiedź na list powyższy od Augusta przyjść miała, musimy przyjąć za pewnik, że Fryderyk dla formy zapytywał, czy August zgodzi się na wyjazd do niego którego z generałów; w samej rzeczy jednak następnego dnia odjechał z listem do Augusta generał-lejtnant von Winterfeld z następującą instrukcją:

„Posełam Waszej Król. Mości mego generał-lejtnanta von Winterfelda, który będzie miał zaszczyt list Mu doręczyć. Możesz mu Wasza Król. Mość, co do wszystkiego, cokolwiek z mej strony powie, dać wiarę zupełną i życzę sobie, aby jego posłannictwo miało wynik szczęśliwy tak, aby i Wasza Król. Mość i ja był zadowolonym. Oby poselstwo to posłużyło do tego, iżby mogło nastąpić prawdziwie zbawienne zjednoczenie dwu sąsiedzkich krajów, które niczego od siebie nie żądają i których istotna korzyść leży w takim związku".

Jakkolwiek August działał pod presją i życzenia króla pruskiego były niczem więcej, jak prostymi rozkazami, to jednak czy ambicja brała górę u niedołężnego króla polskiego i saskiego elektora, czy bał się obu swych sprzymierzeńców, Austrji i Rosji, dość że Winterfeld wrócił z niczem. Zamiast odpowiedzi przez niego, wysłany został ze strony Augusta w dniu następnym 15. września generał Armmb z listem do Fryderyka, który to list zawierał odpowiedź odmowną. Tegoż dnia odpisał nań król pruski Augustowi w tych słowach:

„Otrzymałem list, który mi Wasza król. Mość raczyłeś przesłać przez generała Armmba. Mówiłem z nim o wszystkich punktach, dotyczących propozycji, tak samo, jak to uczynił generał Armmb wobec Waszej król. Mości. Bardzo mi przykro, że nie mogę się dłużej powodować względami, ale po tem wszystkiem, co raz jeszcze powtórzyłem generałowi Armmb, nie pozostaje mi nic innego".

Ciąg dalszy nastąpi.

W PARKU.

Okryty płachty śniegowemi
Szereg się cichy grabów czerni,
Liści zbawione spodem krzewy
W skręty się wiją pełne cierni...

I tak wygląda park wśród śniegu
Jakoby owy las Dantego,
W który przemienił Bóg tych dusze,
Co nić stargali życia swego.

I melancholja dziwna wieje
Od nieruchomych tych konarów,
Wzniesionych w niebo jak w rozpaczy
Ręce łaknące szczęścia darów...

I melancholja owa wnika
W głąb duszy mojej, obtulając
Smutków i żalów blade mary,
Co stają przy niej głucho łkając...

I dusza moja czas wspomina
Kiedy nie śniegi ale liście
Stroiły drzewa, a wiatr-muzyk
Grał wśród nich hymny uroczyście;

Kiedy wśród wrzosów o miłości
Słowicze chóry zgodnie brzmiały,
Kiedy kwitnęły wokół róże
I przy mnie był mój Anioł biały....

Zdzisław Art.

Gwiazdy i grzyby w podaniach ludu.

(Szkic etnologiczny)

Dokończenie.

Obok Kozierożków wspomnę o **K o z a r a c h**. Bywają też zwane **K o z a k a m i**, w znaczeniu Kozła — a nie jeźdźców zaporozkich[1]). Lud polski dał im nazwę **K o ź l a k ó w**. Łodyżki mają pieńkowo cienkie, barwy są czarnej, rosną pojedyńczo, czasem — jak zresztą i inne grzyby — znaleźć można dwa zrośnięte, lecz nie z jednego pnia wybiegające.

K o ź l a k i i **K o z i e r o ż k i** są postrachem młodzieży pastuszej. Wiedzą chłopcy od ojców, jak niebezpiecznem jest wywoływać „Capa brodatego", a niezawodnie zjawi się on, gdy przez nieuwagę przy zbieraniu grzybów złączy się Koźlaki z Kozierożkami. Zrosną się one natychmiast i odżyją.

[1]) Etymolodzy szukają źródłosłowa dla nazwy „Kozak" — aż w tureckiej mowie twierdząc, że **k a z a** u Turków oznacza jeźdźca. Mniemam, że to mylny wywód. Dziewczynę płochą, zwinną, ciekającą zwykliśmy nazywać kozą — a chłopca z podobnymi przymiotami kozakiem. Zwinność jeźdźców zaporoskich, szybkość ich ruchów zjednały im zapewne miano Kozaków.

We wsi Pękosławice pod Waśniewem (w opatowskiem) opowiadają następującą bajkę: Pastuszkowi zbierającemu bedki na wspólną ucztę, gdy inni zajęci byli przy ognisku znoszeniem suchych gałęzi, łapaniem raków w rzece — zdarzył się ten wypadek, że gdy Koźlaka i Kozierożki złożył razem do kapelusza, zaszumiało w nim, bek się rozległ i w okamgnieniu poczuł na ramieniu capa brodatego (gdzieindziej mówią także „torunia“), który rogami powybijał mu oczy. Chłopiec upadł na ziemię bez przytomności i leżał dłuższy czas, aż towarzysze zdziwieni, że nie wraca do ogniska, poczęli „hopkać“ w las, i tem go przywołali „do pamięci“. Odezwał się im, ale ślepy będąc, trafić do nich nie mógł. Wołaniem ściągnął ich do siebie — a gdy się zbliżyli, spostrzegli na polance „capa“ pasącego się spokojnie. Sierść miał czarną, nogi cudacznie powykręcane, były złote — i kopytka takież. Chłopcy uprowadzili pastuszka do domu, a cap przyglądał się temu, nie czyniąc im szkody żadnej.

Inny znowu wypadek zdarzył się pastuszkom, którzy zabrawszy z sobą ziemniaków, rozłożyli ogień pod lasem i dwóch z pomiędzy siebie wysłali na grzyby. Pozostający przy ogniu, dokładali tymczasem drzew suchych i szyszek, aby węgli było poddostatkiem. Z lasu przynieśli chłopcy znaczny zapas grzybów. Gdy ziemniaki ogarnęli gorącym popiołem, na węglach zwierzchu ułożyli grzyby, a widocznie pomięszali także Kozary z Kozierożkami, bo z ognia zerwał się cap, z brodą siwą jak dym, rozrzucił kopytami ognisko, poczem napadł pastuszków i porozpędzał na wszystkie strony. Nie ubódł przecież ani nie skaleczył nikogo, choć rogi miał rozsochate jak jeleń, ale nie złote. (Jeżow w rzeszowskiem).

Znane są jeszcze grzyby B a r w i k i — u ludu ruskiego zwane S i n i a k i. Wyrastają z gęstego mchu, na kręconych pieńkach nieproporcjonalnej grubości do główki, rozkładającej się wygodnie na mchu. Podbicie denka jest kanarkowo żółte, za dotknięciem palca zielenieje, a potem sinieje; wierzchnia część mięsista jest pełna (nie gąbczasta) i białej barwy. Powłoka cienka, ma kolor skóry z połyskiem aksamitu.

Niektórzy grzyboznawcy zaliczyli ten gatunek grzybów do jadowitych, lecz lud wiejski spożywa je i są nieszkodliwe.

R y d z (a po rusku R y s z k a), powszechnie jest znany, a przez Mickiewicza określony jako najsmaczniejszy, „czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory, czy zimą“, — bywa ceniony także przez włościan, którzy go jednak nie marynują, jak po dworach nasze gosposie. Chłop rydze piecze na węglach, potem soli i zjada jako okrasę (omastę) do ziemniaków. Często mu służy zamiast mięsa do chleba suchego. Chętnie też zbiera, aby odnieść do dworu i wziąć zapłatę. Bliżej miast większych przynosi je na targ, jak inne gatunki grzybów, z których największe właściwie zyski ciągną żydzi, skupując je do suszenia i puszczając je w zimie dopiero w handel.

P i e c z a r k i, dobrze także znane naszym gospodyniom, zatrudniającym się kuchnią. Nazwę wywodzą wieśniacy od słowa „piec“, twierdząc, że twardsze są pieczarki od rydzów, dlatego dłużej trzeba je „opiekać“. Lud ruski daje im nazwę: **M a k u c h ó w**, zapewne dla podobieństwa kształtu z główkami makowemi, którego jednak bez pewnej dozy fantazji trudno dostrzedz, gdyż pieczarki raczej podobne są do ziemniaków. Dostatniejsi gospodarze tylko sporządzają z nich potrawę, dodając śmietany kwaśnej; zapasu z pieczarek zresztą nie robią.

O barwikach, rydzach i pieczarkach żadnego nie słyszałem podania.

B i ł k i, B i ł y j e a po polsku B i e l m y — zowie lud gatunek grzybów jadalnych, grubo mięsistych, o chropowatej powierzchni, brudno białej barwy. Zyskały one prawie wszędzie nazwisko „grzybów żydowskich“. — Przezwiskiem tem gmin daje wyraz wyobrażeniom swoim o charakterze żydów, nieużytych dla chrześcjan. Warunkowo tylko można z nich (tj. z żydów i z tych grzybów) korzyść odnieść. Ostatnie potrzeba aż trzy razy sparzyć, bez tego są nie do spożycia, bo gorzkie w smaku — „aż gebę wykręca“. Bajek o innej szkodliwości tych grzybow lud nie opowiada, przynajmniej w okolicach zwiedzanych przezemnie.

Znane są także ludowi wiejskiemu dwa gatunki podgrzybków, którym tradycja mimo ich niepozornego kształtu — nadała urok niezwykły. Są to P o d b u c z k i (zwane także Borodajki, Ssawki) i P o d p i e ń k i (Podpińki). Nazwę otrzymały od miejsca, gdzie rosną i od mniemanych swoich przymiotów. Podania o nich, pod względem głębokości myśli, najpierwsze mogłyby zająć miejsce.

P o d b u c z k i są jasno bronzowe z wierzchu, nóżki mają oliwkowe, a podgardle dziurkowate, podobne do gąbki suchej; koloru szafranowego. Rosną najgęściej na zrębach, gdzie były lasy bukowe.

P o d p i e ń k i, jesienne grzybki, gromadnie w wielkich kupkach się krzewią przy pniakach drzew ściętych, począwszy od dęba aż do wierzby; kolor mają ciemno popielaty lub tabaczkowy, wierzchnia część znaczona jest czarną plamką w samym środku denka, osadzonego na łodyżce cienkiej. Jest to jedyny gatunek grzybów, które wieśniaczki zbierając, uważają za artykuł żywności w szerszem znaczeniu, bo z nich robią znaczne zapasy, suszą je w piecu — a w zimie używają do kaszy hreczanej, jaglanej i barszczu. Biedniejszym służą także za omastę do ziemniaków.

Nie przeoczył lud wiejski korzyści, jakie mu przynoszą te bedki, więc zmysł poetyczny jego, lubujący się w przenośniach, podniósł ich wartość do znaczenia skarbów zaklętych. We włościach u podnórza gór Św. Krzyzkich w Królestwie położonych, nawet pomiędzy mieszkańcami miasteczka Bodzantyna, liczne utrzymują się skazki o „podpienkach“ zmieniających się w dukaty lub srebrne pieniądze, a bajka następująca o „pastuszku i dziewce“ przedstawia wyobrażenia ludowe w tej mierze:

— „On gromadzkim był pastuszkiem, z drzewami znał się jak z rodzonymi braćmi; nigdy szkód nie czynił w zagajach i bydlę strzegł, aby młodych zapustów nie niszczyło — a pomiędzy staremi drzewami, to już zawsze chodził z odkrytą głową, niby mając je za stare książęta dawnych wielkoludów, którym kłaniać się należy. Tak to mu podali i dziad i ojciec, z których jeden i drugi bywał borowym jeszcze za królewszczyzny. Kiedy inny ład nastał — a cudzych nastawili w lesie stróży, on „wziął“ bydło paść, a drzewom przecie został przyjacielem i prawie opiekunem borów. Dziewczyna, której rad był sercem, przyjęła od niego tę cześć dla lasów. Do zbierania paszy nigdy nawet sierpa nie brała, aby nie kaleczyć młodych drzewek, tylko rękami rwała trawę. Mieli się pobrać pastuch i dziewka, on uskładał już nieco grosza, a pobrawszy także płacę za przedzimek, przeliczał na pastwisku swój majątek, gdy wtem wypadł z lasu „wilkołak“ [1]) pomiędzy bydło. Wiadomo zaś, że wilkołak niekiedy krowy dusi — albo je „nadmie“ — aby więc temu przeszkodzić, pastuch skoczył z miejsca i nuż „w boryki z kudłatym“ — który się bronił bardzo dzielnie. Zmógł go pastuch, bo miał

[1]) Na Podlasiu, na Mazurach i Mazowszu, toż i na Rusi, wszędzie istnieją podania o wilkołakach. „Na Podlasiu jeden czarownik całe wesele zamienił w wilki, to potem, jak obławę zrobiono i ubito tych kudłaczy, pod ich skórą znaleziono u państwa młodych jeszcze u boku wiązanki kwiatów, a u grajków całe skrzypki weselne“. Zarysy literatury z rycinami K. Wł. Wójcickiego. Warszawa 1879.

osikową pałkę naczynioną — a gdy nią „sparzył przez krzyż" napastnika, przysiadł ten bez mocy. Parobek zdjął pas ze siebie i założył go na wilkołaka — a w pasie miał pieniądze. Zaledwie jednak zciągnął rzemień, gdy jeniec czworonogi się zerwał — i z pasem i kaletką uciekł na błota leśne, wyjąc jak opętaniec.

Dziewczyna pod ten czas była na grzybach z innemi kobietami, bo należy w kilkoro chodzić na podpieńki jesienią, inaczej ono może się sprzeciwić Widziały kobiety walkę z kudładym, a dziewczyna już już miała gałąz ułamać i biedz na pomoc, gdy ją jakby tknęło, że to grzech kaleczyć drzewa. Przybiegła przecież sama z krzykiem, strasząc płachtą, aż wilkołak uskoczył na błota. W płachcie miała już grzyby, lecz biegnąc poczuła, że płachta nagle pociążała i coś w niej brzęczy — wyraźnie jak pieniądze. Zajrzeli do płachty, a w niej czyste złoto: nowiuteńkie czerwieńce (dukaty). Parobek splunął — przeżegnali się razem, ale złoto złotem. Oddali więc część na figurę męki pańskiej — potem pobrawszy się, w późne lata żyli szczęśliwie".

Według innych podań podpieńki do domu przyniesione zamieniały się w talary i złoto, lecz podłożyć należy pod nie paprociowe ziele i posypać solą święconą w wigilję Bożego Narodzenia. (Piorunka w rzeszowskiem). Niekiedy babom przy zbieraniu podpieńków udało się dostrzedz przez szczelinę w ziemi ogromne skarby należy wtedy znowu zatkać ten otwór pokrzywami i przyłożyć kamieniem — a wyrzec: „niech go parzy jak pokrzywa, niech go gniecie jak kamień, gdy ruszy". Co noc wtedy można nabierać tych skarbów w pewnej nieprzekraczalnej ilości, inaczej zaczną się tlić i żarzyć jak węgle, a do domu przyniesie się tylko garnek popiołu, zamiast garnka złota (Łozina w gródeckiem).

O Podbuczkach (bordajkach, ssawkach) baśnie ludowe mają posępniejsze barwy, nawet pewną grozę, jakby na nastraszenie niszczycieli lasów obliczoną.

Lasy i bory — według niewykorzenionego po dziś dzień przekonania ludu — były bezpańskie, bo rosły jak trawa bez wszelkiej uprawy. „Królowie polowali w nich, bo na to mieli „powinność" (t. j. obowiązek). W nieprzejrzanych okiem puszczach starodrzewu żyło mnóstwo grubego zwierza, który nie mało szkody czynił w polu chłopom; polowania królów były więc służbą w interesie ogółu wykonywaną. Że jednak królowie nie mogli wydołać sami, przeto przykaz dali do panów, aby ich zastępowali. Lecz przecież nie ubywało lasu wtedy, choć każdy brał z niego co chciał — i starzy powiadali:

„Był las — bez nas,
Za nas — jest las,
Będzie las — po nas".

Rąbał też kto jeno chciał i wiele chciał — nawet żydy, ale ci zaraz wywozili drzewa nad rzeki, któremi spuszczali je w zamorskie kraje.

Wtedy dopiero zaczęły „chodzić posłuchy" — że będzie licho za to — a bywało nawet, gdy korę łupano z drzewa zrąbanego, to ono się wiło i wykręcało, niby człowiek na mękach. Często też chłopi zamiast gałęzi, odcinali sobie palce, ręce, nogi — a wielu ginęło potłuczonych przez padające dęby, buki, modrzewie, klony, olchy i jawory odwieczne. Wszystkie te przestrogi na nic się nie zdały — bo i panom przykrzyły się już ciągłe nagonki po lasach, i mówili, że mniej będzie wilków i szkodników, gdy nie znajdą schronisk dla siebie w gęstych borach.

Tymczasem na wyrębach, gdzie tylko pagórek „siaki taki" — ono z wiedźmami już odprawia „djabli taniec" po nocach, a po dniu jasnym wylatujący ze szklanej bani psy grzywiaste (wiatry i wichry) wyły, aż bór trząsł się cały. Jednak chłopi nie zaniechali licha, ale bez upamiętania niszczyli drzewostan — już nie przestając na tem, by wycinając drzewa najgrubsze, młodego przyrostu strzegli, ale ognie podkładali — i zaledwie wiosna nastanie, to już się dymią lasy jak zasięgnie oko.

Mniemam, iż autor „Ziemiaństwa Polskiego" w obrazie spalonego lasu, narzekając, że

„Niema tu rąk do pracy, lecz są do zniszczenia"

patrzył na takie katastrofy, ręką ludzką spowodowane,

„gdy na buchającej ogniami przestrzeni
W jeden się płomień złączą tysiące płomieni,
Gore ognista góra — a wierzch jej wysoki —
Wązkim językiem sięga i patrzy w obłoki;
Po rzekach — po jeziorach blask jutrzenki nieci —
Już nie słońce dla ziemi, ziemia niebu świeci!
Odległych stron mieszkaniec truchleje śród cieni
Na tę łunę, co miedzią błękity rumieni —
Mniema, że twarde pieczar przetarłszy sklepienie
Piekło, z czarnych otchłani wyrzuca płomienie,
Że część ziemi w popiele, że już świat przy zgonie.
Jak go chłonęły morza, tak go ogień chłonie".

Po ogniach też — zapewnia lud wiejski — wielka ilość grzybów nosi ślad widoczny, w żółtawym kolorze podgarla. Podbuczki-ssawki również mają to znamię.

Wypaliwszy lasy, otwarto drogę dla wiedźmy głodawicy, która zaczęła sioła co roku nawiedzać. A była to istota tak żarłoczna, iż nawet z pod samych ust porywała ludziom kęs chleba, pojadłszy przedtem już wszelkie zapasy. Zaczęto tedy przemyśliwać, jakby jej zamknąć drogę. Chłopi zagrodzili przerąb, usypali wały, ale to nic nie pomagało. Znachorowie radzili straż stawiać uzbrojoną widłami — z rana jednak znaleziono wartowników bez duszy — a zwłoki ich obsypane grzybami (ssawkami-borodajkami). Pewien pustelnik poradził wtedy, aby wykarczować pniaki i uprawić ziemię, bo na zoranej roli nie może powstać ani upiór, ani strzyga, ani też wiedźma — albowiem grunt taki jest poświęcony. Usłuchali ludzie rady — lecz zanim ukończyli robotę na rozległej przestrzeni, to powymierało karczowników siła, bo czepiały się ich ssawki napastliwe i odbierały im moc i ducha. Wymarnieli wszyscy ci, co palili bory. Ustąpiły przecież w następne lata dokuczliwe bedki z pola, i tłumem przyczaiły się pod bukami, niby w cieniu szukając opieki drzew starych.

Nie chętnie zbiera lud i dzisiaj owe podbuczki-ssawki, zupełnie przecież nie gardzi niemi; zapasu na zimę nie robi z nich wcale.

Za najtwardsze grzyby jadalne, uważają włościanie ruscy (wieś Łozina, Dąbrowica, Stawki, w gródeckiem) t. z. Rypozy albo Skrypije. Lud polski nazywa je ogólnem mianem „Wapniaków", a względnie na kształt ich różnoraki — miarkami, michami lub kubkami, bo bywają większe i mniejsze, płaskie i kielichowate. Z koloru są brudnobiałe. Rosną we wszystkich lasach, niekiedy w takich rozmiarach, iż z jednego grzyba będzie dwa litry gęstej strawy. Surowe są tak twarde, iż chodząc po nich, nie łamią się, tylko trzeszczą i skrzypią i ztąd u Rusinów ich nazwa „Skrypije". Zapasu z nich nie robią także, choć w niektóre lata nader obficie rosną, kosić je wtedy można jak trawę — powiadają chłopi. W taki rok spodziewać się można napewno, że zima będzie nawalna śniegiem — ale i dobry urodzaj na żyto.

Po „Rypozach", ostatnie w późnej jesieni pojawiają się „Panny", które w przeciągu jednej zimy stają się „Babkami" krzykliwemi i zapalnemi, jak o tem już wspomniano poprzednio.

Nie sądzę bynajmniej, abym niniejszemi zapiskami wyczerpał podaniowe grzyboznawstwo gminu, choćby pod względem terminologji; we wielu okolicach kraju naszego bedki i

huby mają poboczne jeszcze nazwy, a zapewne i legendowe ozdoby. Toż pomiędzy trującymi „Psiukami“ istnieje już wielka rozmaitość przezwisk jak: gaiki, dżdżyce, lejki, ule, tabakierki (purchawki), świoki, czuby etc., nie mówiąc o imionach, według Mickiewicza:

„znanych tylko w zajęczym lub wilczym języku“,

lecz zapiski niniejsze, zwłaszcza z grzyboznawstwa ludowego, mogą posłużyć za zachętę do dalszych poszukiwań dla osób oddających się podobnym zajęciom z upodobaniem i korzyścią dla nauki ludoznawstwa.

Edmund Kolbuszowski.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Ach nie! Nie róbże pan ceremonij! — zawołała pani Bennechen — nasza Hilda niestety nie może być wcale zarozumiała ze swej piękności.

— Ależ łaskawa pani, przeciwnie, znajduję... — jąkał nieszczęsny handlarz drzewa.

— Jesteś pan zanadto uprzejmym, mój panie.

Pani Bennechen uśmiechnęła się wymuszenie, to też spostrzegł, że palnął wielkie głupstwo.

Ponieważ wkrótce potem pokazał się Alfred Bennechen, przeto skorzystał z tego, aby się zrehabilitować, i zaczął go wychwalać pod niebiosy. Widział też zadowolenie, jakie to wywołało, a pani Bennechen z żywem zajęciem słuchała jego komplementów, podczas gdy swego najmłodszego syna bacznie śledziła wzrokiem.

Pierwszy walc wlókł się nudno i sztywnie, aczkolwiek muzyka była doskonała, a wspaniała sala błyszczała od srebra i złota w świetle trzech wielkich kandelabrów i lamp na ścianach i postumentach. Przy jednej z długich ścian znajdowały się małe nisze, wygodne kryjówki z przytłumionem światłem, gdzie, jak mówiła pani Bennechen, nogi mogły wypocząć, a przemawiać serca.

Alfred tańczył z miną człowieka, rozbijającego kamienie na drodze, aby tą ciężką pracą zarobić sobie na chleb powszedni. Tak samo referendarz Hierth. W ogóle mówiąc, panowie byli jacyś ponurzy; tylko kilku starszych, żonatych panów, tańczących z najmłodszemi dziewczętami, wyglądało tak, jakby się bawiło z iście młodzieńczym zapałem.

Po każdym tańcu zmykali panowie do pokojów od podwórza, gdzie był poncz i *toddy*. Skoro się tylko rozpoczynał nowy taniec, odkładali zgryźliwie na bok cygara i wlewali w siebie wielkie szklenice ponczu z wodą sodową, albo koniak z wodą, tak jakby mieli wychodzić w najmroźniejszą noc zimową. Potem wlekli się do sali, do której wnosili z sobą delikatną woń tytoniu i wina.

Bal się odbywał, ale z wielkim przymusem, jak zwykle w pierwszych godzinach.

— Jeszcze nie mają pary w sobie — mruczał gospodarz z miną znawcy i kazał przynieść więcej ponczu do rozmaitych pokojów.

Alfred Bennechen był rozdrażniony i jakiś tajemniczy. Gdy go się kto zapytał, z kim będzie tańczył następnego walca, odpowiadał wymijająco. Jego przyjaciel Hierth odkrył jednak, że do różnych pierwszych tańców wogóle nie zaangażował nikogo; Bennechen zdawał się czekać na coś.

Okropny Hans przyszedł nareszcie. Ludwika spostrzegła go przelotnie w tańcu. Na jego bladej twarzy wyczytała swój wyrok i czuła się zupełnie zdruzgotaną. Młody kandytat Smith, z którym właśnie tańczyła, opowiadał jednak tyle zajmujących rzeczy o swej pieszej podróży na górę Jotunheim, że co chwila zapominała o swym kłopocie. A gdy przez jakiś czas nie mogła spostrzedz swego narzeczonego, otuliła wreszcie swe sumienie w coś, co Hans, jak o tem wiedziała, nazwałby „świadomością popełnionego grzechu“.

Gdy się wszakże taniec skończył, odszukała Karolinę Hjelm, kuzynkę Hansa, i zaklęła ją na przyjaźń, aby poszła do Hansa, powiedziała mu, że zmuszono ją do wystrojenia się, i zapytała go, czy naprawdę jest na nią tak zagniewany.

Tej delikatnej misji podjęła się Karolina z wielką gotowością; co do siebie, to nie obawiała się Hansa wcale. Znalazła go w jednym z pokojów, grzebiącego w jakiejś szafie z książkami.

— Dobry wieczór, Hans!... Mam cię pozdrowić od Ludwiki i zapytać się, czy nie zechciałbyć z nią potańczyć? — rzekła Karolina i ukłoniła mu się zgrabnie.

Hans spojrzał na nią przenikliwie swemi małemi niebieskiemi oczkami; ponieważ jednak spojrzenie to nie zdawało się wywierać na Karolinę żadnego wrażenia, zapytał:

— Czy Ludwika prosiła cię rzeczywiście, abyś mi to powiedziała?

— Tak... Dlaczegóżby nie? Czy sądzisz może, że taniec jest grzechem? Nam przynamniej kapelan zakładowy mówił, że można tańczyć spokojnie, jeżeli tylko serce jest czystem! A ty przecież posiadasz takie serce, Hans, wszak prawda?

— Z tobą nie chcę o tem mówić, Karolino; jesteś dzieckiem świata.

— Pfe! Hans! W ten sposób przemawiać!... — rzekła Karolina urażona — nie pojmuję, jak takie miłe stworzenie, jak Ludwika może chcieć ciebie. Jabym cię za nic w świecie nie chciała.

— Sprobuję wyrwać Ludwikę z tego domu grzechu.

— Ależ Hans, jaki ty jesteś wstrętny! — rzekła niepoprawna Karolina, odwróciła się do niego plecami i poszła do salonu.

Nareszcie przyszedł minister Bennechen. Był to wysoki, przystojny mężczyzna, gładko wygolony, o uderzająco kwitnącej cerze twarzy. Gospodarz przyjął go w pierwszym pokoju

i krzątał się zawzięcie dokoła niego. Chociaż bowiem byli tak dobrymi przyjaciółmi, że Falck-Olsen mógł w cztery oczy być bardzo poufałym, to jednak minister imponował mu, gdy występował w pełnym blasku orderów i z miną dyplomaty.

Prócz tego minister był dzisiejszego wieczoru najznakomitszym gościem, istotną osią zabawy, a mały żywy kupiec promieniał z radości, podczas gdy wielkiego pana prowadził przez salony.

Pani domu pozdrowiła ministra serdecznie, poczem ten zaczął się przechadzać między starszemi paniami i był bardzo uprzejmy. Następnie, w pauzie między jednym a drugim tańcem przeszedł przez salon, przywitał córki domu i zniknął w prywatnych pokojach kupca, gdzie zgromadziła się śmietanka najwybitniejszych gości.

Przybycie ministra Bennechena nadało uroczystości pewne piętno. Kiedyindziej u Falck-Olsenów miano uczucie — „że się jest bez głowy", jak mówił Delphin. Na gospodarza i gospodynię tak mało zwracano uwagi, że niemal ginęli w tłumie; zaledwie myślano o nich.

Teraz jednak całe towarzystwo otrzymało głowę w osobie ministra, gdyż jako serdeczny przyjaciel domu dawał pewną gwarancję i nowo upieczony blask domu ogłaszał jakby uprawniony. Każdy z poszczególnych gości doznawał uczucia uspokojenia, że się znajduje rzeczywiście w dobrem towarzystwie i może się bawić bez wyrzutów sumienia.

Teraz dopiero bal się rozpoczął na dobre. „Kamieniotłuki" uśmiechali się wśród pracy, a gospodarz zacierał ręce i nie myślał już o konsulu Lindzie.

Alfred, zoczywszy wchodzącego ojca, wyśliznął się do przedpokoju, ubrał się w paltot i opuścił dom Falck-Olsenów.

VII.

Krystyna siedziała w domu w ciepłym pokoju i pisała list do ojca, a raczej do naczelnika pilotów, gdyż Njaedel nie umiał czytać pisanego.

Wuj Anders odprowadził właśnie ministra do powozu, a potem wyszedł jak zwykle wieczorem; miał tyle do czynienia.

Gdy tak siedziała i patrzyła w lampę, aby jeszcze coś znaleść, o czemby mogła napisać, zapukano do drzwi i do pokoju wszedł doktor Bennechen.

— Przepraszam panią! Czy mój ojciec pojechał na bal? — zapytał.

— Tak, przed chwilą — odparła Krystyna.

— Szkoda, chciałem pojechać z nim razem.

Było to wielkie kłamstwo ze strony kochanego pana doktora, gdyż w rzeczywistości stał na rogu ulicy i czekał, dopóki powóz nie odjechał.

A teraz, znalazłszy się u celu, stanął bezradny; i byłby bez wątpienia odszedł, nie wyrzekłszy ani słowa więcej, gdyby Krystyna nie była powiedziała:

— Może powóz jeszcze powróci.

— Tak, może... z pewnością powróci! — rzekł doktor.

Oboje udawali, że wierzą w to, chociaż wiedzieli, że to był powóz wynajęty; minister sam posiadał tylko otwarty kabrjolecik na jednego konia.

— Czy nie zechcesz pan tymczasem usiąść? — zapytała Krystyna. Wuj Anders nauczył ją już tyle, że mogła mówić do ludzi „pan".

Doktor podziękował i zamknął za sobą drzwi.

Jan Bennechen był trochę podobnym do swego ojca, ale nie posiadał w sobie nic, coby w istocie imponować mogło. Przeciwnie, wyglądał na to, czem był: dobrym chłopcem, trochę głupim i bardzo prostodusznym; prócz tego chromał na lewą nogę.

Doktor zaczął rozmawiać z młodą dziewczyną, stojąc między drzwiami a stołem. Był przyzwyczajony do przestawania z ludźmi wszelakiego rodzaju, tak że Krystyna mogła go dobrze zrozumieć. Rozpoczęli też zaraz rozmowę o stosunkach u niej w domu, porównywali wieś z miastem itp.

Zawsze, gdy powiedział coś wesołego, pochylała głowę i śmiała się; a światło padało wtedy z lampy na jej wspaniałe czerwone, kędzierzawe włosy, odziedziczone po ojcu. Zdawało się jednak także, że otrzymała po nim w spadku i jego krew Hunnów, gdyż ramiona miała szerokie, pierś wysoką i silną, a gdy stała wyprostowana, była tak wysoką, jak większa część mężczyzn.

Na dworze było zimno, wiatr dął silnie, jak w jesieni. Ale w pokoju na podłodze leżały rozłożone dywany i w piecu paliło się tak przyjemnie; było zacisznie i w powietrzu unosiła się woń czystości.

Doktor miał pod paltotem ubranie wieczorne. Rozpiął się i w końcu usiadł tuż przy stole, oparty o ścianę.

Zawsze, gdy słyszeli nadjeżdżający powóz, mówili: „oh, już jest" — a gdy powóz jechał dalej odzywali się zgodnie: „nie, to nie ten".

Naraz ktoś zapukał, drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Alfred z wesołem „dobry wieczór" na ustach. Gdy jednak spostrzegł brata, zafrasował się z początku, a następnie uśmiechnął się złośliwie:

— Aj, aj, sam na sam, czy też panna Krystyna chora?

Krystyna, która to wzięła za żart, chciała odpowiedzieć — lecz zatrzymała się przerażona, spostrzegłszy, jak doktor stał się nagle poważnym.

— Chciałem poczekać na powóz; sądzę że powróci — rzekł Jan opryskliwie.

— Wymówka nieporównana! Jakże Amor czyni ludzi wynalazczymi! — zawołał Alfred i zasadził na nos binokle — Tak? chciałeś czekać? Jak to sprytnie pomyślane!

— Wypraszam sobie twoje docinki Alfredzie!

— Widzisz go, widzisz! Wypraszasz sobie! Możesz! A może i ja mógłbym — aby przemawiać w tym samym stylu — wyprosić sobie mniej awanturnicze objaśnienie twej obecności tutaj o tej godzinie?

— A ciebie co to obchodzi?

— Widzisz go! Teraz styl staje się już więcej ludowym. Nie pytam się też dla mojej własnej wiadomości, gdyż nie potrzebuję dalszych objaśnień; stan rzeczy jest dla mnie zupełnie jasnym, zupełnie jasnym... — spoglądał to na niego, to na nią — ale wiem, że byłoby to dla mamy bardzo zajmującem dowiedzieć się, na co jej pierworodny czyha w domu, gdy nikogo niema.

— Nie czyham! Strzeż się Alfredzie! — zawołał Jan i postąpił krok naprzód.

— Nie kalajmyż tej chaty krwią bratnią! — rzekł Alfred przez zęby, zjadliwie, chowając się jednocześnie za krzesłem.

Krystyna zbliżyła się do doktora i chciała coś powiedzieć. Zwrócił się jednak do niej bardzo blady i rzekł:

— Nie gniewaj się pani, proszę o przebaczenie; scena ta nie powstała z mojej winy. Dobranoc! Alfredzie, chodźmy!

— My? — zapytał Alfred z namysłem i zrobił ruch, jakby chciał zdjąć kapelusz.

Doktor jednak uchwycił go za ramię tak, że nic nie można było powiedzieć, i zanim referendarz się obejrzał, znajdował się już w przedsionku, a w chwilę potem na ulicy.

Krystyna stała i słyszała, jak obaj bracia przechodzili obok jej okien. Jedno jedyne słowo doszło do niej; a potem nic już słychać nie było.

Zbladła, a na lewej jej skroni ukazało się zagłębienie i czerwona plama. Była to blizna od uderzenia, które otrzymała tej nocy, gdy lawina kamienna porwała jej matkę i rodzeństwo.

Bracia szli i wymieniali między sobą ostre słowa, aż nareszcie pożegnali się na rogu ulicy. Jan nie chciał teraz iść na bal. Poszedł wprost do siebie do domu; od niejakiegoś czasu wyniósł się był od rodziców, gdyż pani ministrowa nie chciała się spotykać na schodach z jego skromnymi pacjentami.

Goście szli właśnie do stołu, gdy Alfred powrócił na bal.

— Gdzie byłeś? — zapytał go Hierth.

Alfred zrobił tajemniczą minę, co spowodowało jego przyjaciela do dania mu kilku kułaków pod żebro przy akompaniamencie różnych przyjacielskich wyzwisk. Potem przecisnęli się do bufetu z winem, gdyż Hierth nastawał na to, że Alfredowi „po tem“ konieczny jest „porządny posiłek“...

Nakryte było w małym salonie i przylegających do niego pokojach. Najpierw zabezpieczyli się starsi, panowie i panie, a potem panie tańczące pozwoliły usługiwać sobie swym kawalerom; ci jeszcze nie ukończyli swej pracy na pół, gdy młodsi panowie zaczęli już na rachunek własny cisnąć się dokoła stołów. Jak gęsta chmura czarnych much objęli w posiadanie pierwszy stół, a potem przenieśli się na drugi. Cisnąc się nieustannie naprzód, nieubłagani jak szarańcza w Egipcie rzucali się na półmiski i talerze, wąchając, ryjąc, żując, pijąc, pochłaniając, wszystko w milczeniu, ale wśród szczęku noży i widelców, jak jedna wielka maszyna do jedzenia w pełnym ruchu.

Młody, bojaźliwy student Hansen odkrył gdzieś butelkę sherry. Zaledwie się to rozgłosiło wśród szarańczy, wnet wyciągnęło się do niego niezliczone mnóstwo kieliszków. I w swej wielkiej dobroduszności nalewał ciągle, aż nareszcie stanął z pustym kieliszkiem i... z pustę butelką.

Śmiano się z tego serdecznie, ale nie długo: nie było czasu do stracenia.

Kluski z mięsem w pikantnym sosie, główka cielęca faszerowana, majonesy z ryb, pasztety, żółw, ptactwo z pieczonemi kartofelkami — wszystko to znikało w tajemniczych przepaściach.

Kuzynek Hans stał przy puddingu z mięsa ze szparagami i nie ruszał się z miejsca, chociaż plecy jego musiały już być poranione od tych kułaków, jakie ciągle otrzymywał. Przy nim stał kandydat Smith i z apetytem który widocznie przyniósł z sobą z Jotunheimu jadł polędwicę wołową łyżeczką od herbaty; przysiągł sobie bowiem, że nie prędzej poszuka widelca, aż nie będzie już ani jednego szampiona na półmisku.

Referendarze Hierth i Bennechen urządzili się daleko sprytniej. Stanęli przy drzwiach do kuchni i napadali na służących, gdy wnosili nowe półmiski. Potem cofali się do stołu z fajkami, który trochę uporządkowali; tam jedli — i pili z kilku butelek, które zawczasu schowali za portjerą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Najnowsza sztuka K. Zalewskiego pt. „Ogniwa“ ujrzeć ma w przyszłym tygodniu światło kinkietów teatru „Rozmaitości“ w Warszawie.

W Łodzi zaczęło wychodzić pismo codzienne pt. „Goniec Łódzki“. Redaktorem pisma jest p. Antoni Mieszkowski.

P. Adam Didur, lwowianin, śpiewa obecnie z powodzeniem na scenach włoskich.

P. Tekla Trapszo, utalentowana „naiwna“ sceny krakowskiej zaproszoną została na szereg gościnnych występów do „Narodnego Divadla“ w Pradze.

W miesięczniku „Russkij Archiv“ znajdujemy wyjątek z listu znanego poety rosyjskiego Żukowskiego do mieszkanki Moskwy p. Jełasinej: „17. grudnia. Pani! Mickiewicz był u mnie. Bardzo mi przypadł do serca. Musi być wielkim poetą. Nic z jego utworów nie znam, ale to, co przeczytał mi w lichej prozie francuskiej ze swego wstępu do poematu, jest wyborne. Jeżelibym teraz pisał, zarazbym się rzucił do tego poematu. Wieje z niego życie... Walter-Scotta. W przypisku czytamy, że list ten odnosi się do r. 1828 albo do 1829. Niewątpliwie jednak — Żukowski pisał to w r. 1817 kiedy Mickiewicz przyjechał do Petersburga w interesie wydania tam „Konrada“. W temże piśmie znajdujemy ciekawy artykuł p. Sirotikina, który dowodzi, że pod wpływem śpiewów historycznych. J. M, Niemcewicza — napisał Rylejew swoje „Dumki“ historyczne.

Zyg. Noskowskiego, twórcy „Livji Quintilli“, kwartet fortepianowy „d-moll“ wykonany był w Bonn w „Beethovenhalle“ przez tow. kwartetowe: Wolf, Stroemer, Rensburg i Pauer. Ten sam kwartet odegrany został przez Tow. Tybergów Pirschla i Buxbauma w sali Bösendorfera w Wiedniu; nadto piękne to dzieło ma być w sezonie bieżącym wykonane w Berlinie.

Konkurs malarstwa i rzeźby warsz. Tow. sztuk pięknych rozstrzygnięty został w ten sposób, iż pierwszej nagrody nie przyznano nikomu, dwie drugie zaś przyznano p. Pankiewiczowi za pejzaż, oraz p. Wasilkowskiemu za piękny obraz pt. „Żądze“.

Charles Lemère, „oficer“ belgijski opracował projekt języka normalnego, który mógłby być dostępnym dla wszystkich ludów kuli ziemskiej — coś w rodzaju volapücku muzycznego.